

11. 198. 825
RECZKA TEATR BALNA

Z OZACZNO I A. GWIEPY

1291
Nr. 5

JANINA MORAWSKA

LAWINA

(SZTUKA W 1 AKCIE Z PROLOGIEM)

**WYDAWNICTWO
EUGENIUSZ KUTHAN
WARSZAWA-KRAKÓW**

BIBLIOTECZKA TEATRALNA

Nr. 5

JANINA MORAWSKA

LAWINA

SZTUKA W 1 AKCIE Z PROLOGIEM



1947

WYDAWNICTWO EUGENIUSZA KUTHANA

WARSZAWA

KRAKÓW



II. 198.825

Adres redakcji i administracji:
„BIBLIOTECZKA TEATRALNA”
Wydawnictwo EUG. KUTHANA
Kraków, Plac Dominikański 2

Redaktor: Wł. Lech.

1953 D 36/41

M-13031

Drukarnia I. pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1.

O S O B Y :

JAN SMÓŁKA — młody lekarz, lat 32

CZESŁAW SMÓŁKA — (w prologu „Podróżny”), lat 30

MARTA — krawcowa, lat 25

CISZKOWA — gospodyni wiejska, lat 60

ANDRZEJCZAK — organista, lat 50

ANTEK — jego syn, lat 15

KUMOSZKA PIERWSZA

KUMOSZKA DRUGA

DZIECI, MUZYKANCI

Rzecz dzieje się w prowincjonalnym miasteczku

PROLOG

(Z jednej strony rajcujące i żywo gestykułujące Kumoszki)

KUMOSZKA PIERWSZA

(mówi drugiej coś do ucha z wymowną mimiką)

No i co pani na to?

KUMOSZKA DRUGA

Nie! Coś podobnego! Co to się na świecie nie wyraża! Moja pani! Moja pani! Ktoby to powiedział!!

(z lewej strony zza kurtyny wychodzi podróżny. Obdarty, zakurzony, czapka naciśnięta na oczy. Rozgląda się)

KUMOSZKA PIERWSZA

(półgłosem)

Patrzaj pani? A to co za jeden?

PODRÓŻNY

(głos szorstki, zachrypnięty)

Gdzie tu mieszka Jan Smółka?

KUMOSZKA DRUGA

Pan doktor?

PODRÓŻNY

Niech mu będzie i pan doktor.

KUMOSZKA PIERWSZA

Pan nie wie gdzie mieszka doktor? To pan chyba zdaleka.

PODRÓŻNY

(nieuprzejmie)

Zdaleka.

KUMOSZKA DRUGA

Zaraz widać. Jeszcze kawał drogi, panie Kochany, przez całe miasteczko, aż do jeziora.

KUMOSZKA PIERWSZA

Prosto, do rynku, a za rynkiem na lewo. A pan po poradę?

PODRÓŻNY

To już moja rzecz.

(odwraca się i wychodzi na lewo)

KUMOSZKA PIERWSZA

(urazona)

To jego rzecz! Widziała pani, jakie to teraz ludzie? Ja do niego grzecznie, jak do człowieka, a ten z pyskiem. Poleciał jak opętany... A leć na złamanie karku!

KUMOSZKA DRUGA

Ale co to za jeden? Jakiśś nieszczęśliwy. Czego on chce? Na chorego nie wygląda, na potrzebującego prędzej.

KUMOSZKA PIERWSZA

(wybuch goryczy)

Na zbója wygląda! Nasz doktor — nie można powiedzieć — porządny człowiek, ale zadaje się z byle kim. Ja pani mówię, że to się źle skończy!

KUMOSZKA DRUGA

(patrzy w kierunku, dokąd wyszedł podróżny, przesłaniając oczy ręką od światła)

Ależ leci! Pilno mu widać. Co ma się źle skończyć, moja pani? Coraz więcej takich, co im do naszego dok-

tora pilno. Zapamiętaj sobie pani moje słowa, niedługo z zagranicy zaczną się tu zjeżdżać.

KUMOSZKA PIERWSZA

E, na zagranicę, to ten nie wyglądał. Jakisćś miejski lachmytek. Ale widać, że z bardzo daleka na pieczętę leciał.

KUMOSZKA DRUGA

Tak, tak, niedługo ludzie z całego kraju zaczną się zlatywać do naszego doktora jak do cudotwórcy.

KUMOSZKA PIERWSZA

Powiedz to pani aptekarzowi. Onby doktora w tyżce wody utopił za to, że mu za mało recept przysyła.

KUMOSZKA DRUGA

A poco truć ludzi? Poco pigularz ma pieniądze od ludzi wyciągać? Nasz doktor ma swoje sposoby.

KUMOSZKA PIERWSZA

A ja pani powiem, że aptekarz ma rację. Doktor nic, tylko zioła i zioła... Szałwia, mięta, macierzanka... Babskie leki, a nie doktorskie. Nie wypada.

KUMOSZKA DRUGA

(tajemniczo)

Zioła, albo i nie zioła... Byłe pomagają... A piekarza, jak go w zeszłym tygodniu kolki spały, to co na nogi postawiło?

KUMOSZKA PIERWSZA

E, moja pani! Jego tak złodziejstwo spało, a nie kolki. Od lat każdy bochenek chleba był niedoważony... Aż mu się rzuciło na wątrobę...

KUMOSZKA DRUGA

A jak poszedł do doktora, to kolki przeszły? I chleb ma wagę?

KUMOSZKA PIERWSZA

Podobno ma... Ale aptekarz bardzo coś nosem kręci.
Szarlatan, powiada...

KUMOSZKA DRUGA

(zaperzona)

Szarlatan?...

KUMOSZKA PIERWSZA

A czy ja to mówię? Ludzie mówią. Ja tam nie wiem.
Są tacy, co mówią, że wariat...

KUMOSZKA DRUGA

Szarlatan? Wariat? A ja paniusi powiem, że to święty
człowiek! Popamiętasz pani moje słowa! Święty!

KUMOSZKA PIERWSZA

Może i święty... Chociaż, że tam ruda Marta u niego
całymi wieczorami przesiaduje, to fakt... I dużobym
dała za to, żeby się dowiedzieć, co ten zbój ma z dokto-
rem za konszachty...

(Światło gaśnie. Kumoszki z przed kurtyny znikają)

Kurtyna się podnosi.

ODSŁONA I

*(Izba w domu doktora. Fotel, kanapka. Białe ściany.
Szafka z apteczką. Na oknie dużo kwiatów).*

CISZKOWA

*(wiejska starsza kobieta siedzi na fotelu. Doktor stoi przed nią
i odwijając powiekę, ogląda jej oczy)*

Jeżeli pan doktor mi nie pomoże, to już nikt nie pomoże...

JAN

No więc opowiedzcie, co to wam dolega, Ciszkowa.

CISZKOWA

Cieężkość mi dolega, panie doktorze. Wielka ciężkość. Tak, jakbym na wnątrzu kupe kamieni dźwigała. Byłam w szpitalu, to mi tam powiedzieli, że na starość nie ma lekarstwa...

JAN

(wesoło)

E, ja myślę, że dobrze poszukawszy, to na wszystko można znaleźć jakieś lekarstwo.

CISZKOWA

Owczarz dał mi jakieściś takie paskudztwo, że mnie do cna zemdliło. Jucha, ani chybi w znowie z tymi, co na moją śmierć dybią. Niedoczekanie, psia ich mać...

JAN

(bada puls, i patrząc na zegarek, lekko)

Ktoby tam na was dybał!

CISZKOWA

Są takie, są! Niedaleko szukając, syn i synowa tylko patrzą, tylko im się te ślipia świecą, żeby gront zagarnąć, a i chałupę też.

JAN

Franek? Skądże? To porządny chłopak. Tylko bieda tam aż piszczy.

CISZKOWA

(z nienawiścią)

A kto mu winien? Czego się z łachmydrą żenił? Bez jednego krowiego ogona? Bez jednego morga grontu? Z miejskim wyciruchem? Mało to mu było gospodarskich córek? I poco mu gospodarska córka, kiedy on i tak gront po matce dostanie. Dziedzic, psiamać! Poczekasz ty jeszcze synku, poczekasz! Jeszcze może drzewo na moją trumnę nie urosło. Jeżeli tylko pan doktor się zmiłuje. Mówią u nas ludzie, że pan doktor ma takie leki, po których każde bolenie jak ręką odjął...

JAN

Są różne leki. Ale czy wam pomogą — nie wiem. To tylko od was zależy.

CISZKOWA

(uradowana)

A niechże ten Pan Jezus i ta Matka Boska...

JAN

Czekajcie. Zapiszę wam lekarstwo, ale jeżeli chcecie, żeby pomogło, musicie zrobić tak, jak wam powiem. Inaczej nic z tego.

CISZKOWA

Adyc' zrobię! Wszystko zrobię, żeby mi tylko ten kamień rozpuściło. Ten kamień co mi tak wątrobę ugniata, że świata nie widzę!

JAN

No, pamiętajcie.
(pieše na karteczce. Ciszkowa śledzi ten akt z nabożeństwem)
Weźmiecie w aptecce zioła...

CISZKOWA

Zioła...

JAN

Zrobicie z nich napar w gorącej wodzie...

CISZKOWA

Wodzie...

JAN

Po zachodzie słońca pić co godzinę po pół szklanki.

CISZKOWA

A niechże Panu Pan Bóg miłosierny...

JAN

Czekajcie!... Ale przy świadkach.

CISZKOWA

Przy świadkach?

JAN

Przy świadkach swojej krwi. Sprowadzicie syna i synową.

CISZKOWA

Tych dziadów?

JAN

Właśnie. Tych dziadów. Bez nich ani rusz. Same zioła nie rozpuszczą waszego kamienia, Ciszkowa...

CISZKOWA

(podejrzliwie)

Cóż to za zioła?...

JAN

To są dobre zioła — dla tego, kto umie ich używać...
A ten kamień to się nazywa nienawiść. To bardzo wielki
kamień i bardzo straszna choroba.

CISZKOWA

Straszna choroba...

JAN

Trzeba się pogodzić z synem i z synową, Ciszkowa.
Inaczej zioła nie pomogą.

CISZKOWA

(zachrypłym głosem)

Pogodzić się. Wpuścić tę flondrę do chałupy, żeby
się zaczęły ich rządy? Oddać im gront? Zostać na łasce?
Lepiej zdechnąć!

JAN

E, umrzeć, to nie jest łatwa rzecz, Ciszkowa. Myślicie, że to lekko umierać samej? W opuszczeniu. Bez dzieci, bez wnuków? Bez niczyjego płaczu, bez niczyjego pacierza? To bardzo straszne, Ciszkowa. Wy możecie o tym myśleć? Bo ja nie. Ej, lepsze są moje zioła, Ciszkowa, lepiej zrobić tak jak mówię — dopóki czas.

CISZKOWA

(z krzykiem)

A samej na wycug!

JAN

(spokojnie)

A samej co Bóg da. Pogodzić się z dziećmi, a potem pić ziółka co pół godziny. Pomoże, jak rękę odjął. Zrobi wam się lekko, lekutko. Zupełnie, jakbyście mieli skrzydła...

CISZKOWA

(ponuro)

Nijakich skrzydłów mi nie trza. Bez ziół też ludzie żyją... Jeszcze się potem pokaże, że to cygaństwo jedno, a nie żadne leki.

JAN

(chowa papierek do kieszeni)

Jak chcecie. Więc nie bierzecie?

CISZKOWA

(z pasją)

A czy ja mówię, że nie bierę? Bierę!! Ale jeżeli i to nie pomoże?

JAN

(wesoło)

A co ma pomóc jeżeli nie to? Bierzcie receptę i

(podaje jej)

walcie do apteki, — a potem — prosto do nich. No? Głowę daję, że już wam jest o wiele lżej!

CISZKOWA

Coś jakbym lżej oddychała... Ale co z tego! Zaleje mi ona, synowa niby, sadła za skórę, że ruski miesiąc popamiętam!

JAN

(mocno)

Niech zalewa! Ale kamienia nie będzie! Tego kamienia, co was zabijał!

(Ciszkowa pochyliwszy głowę, cicho idzie ku wyjściu)

JAN

(woła za nią)

Ejże, Ciszkowa! Zapomnieliście kobiałki!

CISZKOWA

To dla pana doktora... Za leczenie... Kura i trochę jajeczków...



JAN

To potem, potem, jak już zupełnie wyzdrowiejecie. Zanieście to do Franków — oni wam więcej pomogą, niż ja! Bądźcie zdrowi — i pokażcie mi się za miesiąc — z dziećmi...

CISZKOWA

Niech będzie pochwalony...

(wychodzi w zamyśleniu)

(Jan chodzi po pokoju, zadowolony, zacierając ręce. Wygląda przez okno za odchodzącą, która widać odwraca się ku niemu, niepewna, bo daje jej znaki, żeby szła).
(Jan idzie do drzwi, otwiera)

JAN

No, jest tam jeszcze kto?

MARTA

(wchodzi, staje nieśmiało w progu)

Ja... Dobry wieczór...

JAN

(miętko)

A, to ty, Marto. Wieczór zawsze jest dobry, kiedy przychodzisz. Cóż mi powiesz?

MARTA

Przyniosłam koszule. Wyreperowałam, co się dało.

JAN

Masz tobie! Miałas z tym pewno dużo kłopotu?

MARTA

(z szorstką czułością)

Ech, taki tam kłopot. Chciała bym mieć zawsze taki kłopot...

JAN

Psujesz mnie, Marto... Jak mam ci podziękować?

MARTA

Pan mi dziękuje? A cóż ja mam powiedzieć?

JAN

Powiedz mi, jak się ma mały.

MARTA

(z zapalem)

Świetnie. Jest wspaniały!

JAN

A widzisz!

MARTA

Widzę... Z dnia na dzień mądrzejszy... Już mówi „mama“...

JAN

A widzisz!

MARTA

Tylko — cóż ja zrobię! Ile razy spojrzę na mnie tymi niebieskimi oczami, to jakby mnie ktoś kamieniem w serce uderzył... Żeby nie pan... żeby nie pan... panie doktorze...

JAN

Dobrze się stało, żeś przyszła wtedy do mnie. Ale byłabyś się i sama opamiętała, Marto.

MARTA

Nie... Żeby nie pan...

JAN

Nie opowiadaj. Już ja cię lepiej znam, Marto, niż ty sama siebie.

MARTA

Ja jestem nic nie warta.

JAN

Akurat! Ja nie pozwolę nikomu wygadywać na moją najlepszą przyjaciółkę, Marto — nawet tobie!

MARTA

(oszołomiona)

Na najlepszą przyjaciółkę... Panie doktorze...

JAN

Panie doktorze? Wiesz chyba jak mi na imię: Janek.

MARTA

Nie, nie — za nic w świecie... Nigdybym nie śmiała.

JAN

Szkoda! Bardzo bym się cieszył. — Więc nie pozwolę nikomu wygadywać na Martę. To nie byle kto! — Dziewczyna zakochała się, chłopaka jej zabili, pracuje ciężko na siebie i na dziecko, znajduje jeszcze czas, żeby myśleć o innych!... Ty sama nie wiesz, co ty jesteś warta!

MARTA

Panie doktorze — ludzie mówią mi ciągle, co jestem warta...

(z zaciętością)

i mają rację! Mają rację!...

(nagle — wstaje)

To ja już idę.

JAN

(niespokojnie)

Cóż się tak śpieszysz?

MARTA

Ja już idę. Ja nie powinnam tutaj przychodzić.

(po chwili ciszej)

Ja już nie będę tutaj przychodzić. Ja przyszedłam się pożegnać.

JAN

Zwariowałaś? Co ty wygadujesz?

MARTA

Ludzie mają rację. Pan doktor nie powinien się zadawać z taką jak ja.

JAN

Zadawać się? A cóż my takiego złego robimy?

MARTA

Dla ludzkich języków wystarczy. Ja nie chcę, żeby za to wszystko, co pan zrobił dla mnie — i dla dziecka — jeszcze o panu gadali. O panu! Przeze mnie.

(uparcie)

Ja tu już nie przyjdę.

JAN

(powoli)

A cóż to ja jestem taki nietykalny, że już o mnie nawet gadać ludzie nie mają prawa? Niech gadają.

MARTA

Ja nie chcę! Pan powinien być ponad tym wszystkim!

JAN

Dlaczego? A cóż ty sobie wyobrażasz, że co ja jestem?

MARTA

(ze słodyczą)

Pan jest najlepszy z ludzi.

JAN

Marto, Marto! Taka duża i taka niemądra!... Żebyś ty wiedziała o mnie całą prawdę... Właściwie to już dawno powinienem ci być oczy otworzyć. Ale ty wiesz, jak o tych rzeczach trudno mówić.

MARTA

Może pan nic nie mówić. Ja i tak nie uwierzę.

JAN

Ty jednak ostatecznie nikogo nie skrzywdziłaś. A ja...

MARTA

(ironicznie)

Pan kogoś skrzywdził?

JAN

(w zamyśleniu)

Tak. Bardzo ciężko. —

MARTA

Nieprawda.

JAN

Prawda. Pamiętasz historię o Jakóbie i Ezawie? —
O Jakóbie, który zagarnął dla siebie wszelkie prawa i błogosławieństwa. I o Ezawie, który żył potem tylko zemstą i nienawiścią?

MARTA

To dla mnie zamądre. Ja nic z tego nie rozumiem.

JAN

Zaraz zrozumiesz. Miałem brata.

MARTA

Jakóba?

JAN

Raczej Ezawa... Zaraz... Opowiem po kolei.

(nagle)

A ty wiesz Marto, że ja byłem kiedyś złodziejem?

MARTA

(z zupełną pewnością)

Ja wiem, że pan tak umyślnie mówi, żeby mnie nastraszyć.

JAN

Wcale nie. To było dawno. Byliśmy wtedy jeszcze dziećmi. Kiepskie mieliśmy dzieciństwo, Marto. Ojciec stracił posadę w fabryce, zaczął pić, matka się zaharowywała, myśmy próbowali działać na własną rękę. Kiedyś namówiłem brata i poszliśmy kraść węgiel na dworcu... Jego przyłapali, ja uciekłem i wtedy powiedziałem sobie: „dosyć!”. Uciekłem z domu. Sprzedawałem na ulicy gazety. Znalazł się przyzwoity człowiek, który się mną zaopiekował. To było, wiesz, jak w tym wierszu „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę”. No i zacząłem się uczyć. Byłem dosyć zdolny. Powiedziałem sobie, że muszę być kimś...

MARTA

A... a tamci?

JAN

Rodzice wyjechali na prowincję. Tam pomarli. Brata straciłem z oczu. Dawałem korepetycje, głodowałem. Dołączyłem do matury. Opiekun zostawił mi niewielki zapis — wstąpiłem na medycynę.

MARTA

Został pan kimś!

JAN

Dajmy na to. Tylko, że... kiedy byłem jeszcze w ostatniej klasie gimnazjum... szedłem wtedy w mundurze, z kolegami... spotkałem brata na ulicy.

MARTA

I zaopiekował się pan nim?

JAN

Nie, Marto. Udałem, że go nie poznaję. Był obdarty, brudny... Wstydziłem się przed kolegami. Tak, Marto. Dopiero w nocy... dopiero w nocy zacząłem się wstydzć — siebie. Ale już było zapóźno. Tak — ja zostałem kimś — a on, obdarty i brudny został na ulicy.

MARTA

I nigdy go już pan nie spotkał?

JAN

Nie. Przez całe lata starałem się go odnaleźć. Na próżno. Później dowiedziałem się, że wyemigrował podobno do Ameryki.

MARTA

No to napewno da tam sobie radę...

JAN

Czy ja wiem... czy ja wiem... czy ja wiem... Miejmy nadzieję. Tak, Marto... Teraz już wiesz. Widzisz — teraz już patrzysz na mnie innymi oczami... Już wiesz, kim naprawdę jestem.

MARTA

(uparcie)

Pan jest najlepszy z ludzi.

JAN

Dajże spokój! Już teraz wiesz, dlaczego mnie zawsze strasznie ta przesada gniewa! Przecież trzeba choć w części oddawać innym to, co się nieprawnie zagarnęło.

MARTA

Oddał pan już sto, tysięcy razy więcej.

JAN

Gdybyż tak było! Tak nie jest Marto, tak nie jest!

Ale dziękuję ci, Marto. Widzisz, nie chcesz już tu przychodzić, a przecież naprawdę jesteś mi potrzebna...

MARTA

Ja?

JAN

Ty — właśnie ty. Kiedy widzę twoje wdzięczne oczy — czuję się jakiś spokojniejszy. Wydaje mi się wtedy, że może chociaż w części naprawiłem... Dobrze mi jest z tobą...

MARTA

Panie doktorze... To nieprawda, że pan ma się przenieść do Warszawy?

JAN

Ani myślę się stąd ruszyć! Nie wiem dlaczego — po całych latach tułaczki, po latach niepokoju — jest mi tak, jakbym nareszcie zawinął do jakiegoś portu...

MARTA

(poprostu, ze słodyczą)

To dobrze.

JAN

Tylko, że ty mnie już nie chcesz widzieć.

MARTA

Ja —

JAN

Boisz się ludzkiej gadaniny. A ja już wiem, co zrobić, żeby przestali gadać! Że też mi to wcześniej nie przyszło na myśl!

MARTA

(bez tchu)

Co?

JAN

Nie domyślasz się?

MARTA

Nie —

JAN

Powiedzieć?

MARTA

(szepcąc)

Tak...

JAN

Czy chciałabyś, Marto...

(głośne pukanie)

CZESŁAW

(za drzwiami szorstko i głośno)

Czy tu mieszka doktor?

JAN

(zaskoczony)

Co takiego?

CZESŁAW

Doktor — Jan Smółka!

JAN

A tak, tutaj! Proszę!

MARTA

(półgłosem)

Pacjent! Po godzinach przyjąć?

JAN

Mam go odprawić, Marto?

MARTA

Nie. Ja wiem, że pan go nie odprawi.

(Czesław — „Podróżny” z prologu — staje w drzwiach).

CZESŁAW

(z grubym śmiechem)

Ehe! Coś ja tu nie w porę! Przyjemnej zabawy!

JAN

Kto to?

CZESŁAW

Swój, swój. Jeżeli komu włożę w paradę, to trudno. Wracał nie będę. Romans nie ucieknie. No? Jeszcze mnie nie poznajesz?

JAN

(w zdumieniu, niedowierzająco)

Nie! To przecież nie... Niemożliwe, Marto, żeby to był...

CZESŁAW

(szybko)

Mniejsza o to, kto. To nikogo nic nie obchodzi. Słuchaj no, Janek. Ja muszę pogadać z tobą w cztery oczy — bez obcych.

JAN

(oszołomiony)

Więc to ty? Nie wierzę własnym oczom... Po tylu latach... Marto, cóż to za nadzwyczajny dzień! — Wiesz kto to jest? Muszę cię jej przedstawić. Marta, to jest moja wielka przyjaciółka...

CZESŁAW

(śmiejąc się)

A widzę, widzę... No więc ja chcę rozmówić się bez przyjaciółek.

MARTA

(zaniepokojona)

To ja już idę... Dowidzenia...

JAN

(gorączkowo)

Tak, tak... Przyjdź potem, przyjdź koniecznie!

(Marta wychodzi)

Czesiek -- to ty --

CZESŁAW

A jakże. We własnej osobie. Stęskniony braciszek, że tak powiem...

JAN

Tyle lat... Tak się zmieniłeś... Nie mogłem cię poznać...

CZESŁAW

(twardo)

Nie po raz pierwszy, panie doktorze.

JAN

(po chwili)

Daruj mi, Czesiek, wtedy to był szczenięcy wybryk. Teraz jest zupełnie inaczej.

CZESŁAW

A widzę. To ty się zmieniłeś. Ja to byłem cham i jestem cham. A ty — niewiadomo jak do ciebie gadać.

JAN

Daj spokój, daj spokój. Powiedz mi nareszcie, człowieku, co się z tobą działo. Dlaczego przez tyle lat nie dawałeś znaku życia?

CZESŁAW

Miałem co innego do roboty.

JAN

Gdzie ty się obracałeś? Skąd przychodzisz?

CZESŁAW

Zdaleka. Ze stolicy.

JAN

Jakżeś się o mnie dowiedział? Jak się tu dostałeś?

CZESŁAW

(z chichotem)

Pierwszą klasą, w sleepingu. Jakżeby inaczej?

JAN

(zaniepokojony)

Słuchaj, Czesiek... Powiedz mi prawdę... Coś z tobą nie bardzo...

CZESŁAW

Braciszek zaczyna być domyślny Jeszcze trochę, a wpadniesz na pomysł, że człowiek musi raz na parę dni coś przegryźć.

JAN

(z przerażeniem)

Jesteś głodny... Żebyś był wiedział... Jest chleb, ser, masło... Poczekaj, wyjdę na chwilę i przyniosę ci coś solidniejszego.

CZESŁAW

(twardo)

Siedź.

JAN

Jak chcesz...

(cicho)

Więc aż tak jest z tobą źle?

(podaje jedzenie)

CZESŁAW

(zabiera się do jedzenia, drwiąco)

Aż tak.

JAN

Słuchaj. Powiedz mi wszystko. Nic przede mną nie ukrywaj. Ja cię rozumiem znacznie lepiej niż ci się wydaje.

CZESŁAW

(z pełną gębą)

O ty wszystko rozumiesz, ty byłeś zawsze zdolny chłopak. Może nawet zrozumiesz, jak można było odwalić 100 kilometrów w takich butach.

JAN

(zgnębiony)

Prawda. Te buty są zupełnie na nic, Czesiek.

CZESŁAW

(drwiąco)

Ja myślę.

JAN

Oczywiście bierz moje. Mam drugą parę, zupełnie nową.

CZESŁAW

Akurat, myślisz, że lakiery z twoich inteligenckich stópek wliżą na moje stopy? Nie, braciszku, takim takim kosztem się nie wykręcisz.

JAN

(gorąco)

Ja się z niczego nie chcę wykręcać, Czesiek. Rozumiesz — z niczego. Wszystko, co moje, należy i do ciebie. Ubranie, mieszkanie — co chcesz. Może będę mógł wystarać się dla ciebie o pracę...

CZESŁAW

Uhm. Rychło w czas. Bardzo mi teraz ta praca potrzebna. Mieszkanie też.

JAN

Czesiek — co to wszystko znaczy? Dlaczego dopiero teraz do mnie przychodzisz?

CZESŁAW

Bo teraz — to już jest mus.

JAN

Czym ci mogę pomóc? Poczłkolwiek przyszedłś — wszystko jest do twojego rozporządzenia.

CZESŁAW

Tak? Klawo! Widzę, że się dogadamy. Słuchaj, potrzebuję na gwałt forsy.

JAN

Pieniędzy. Zaraz...

(wyjmuje portfel)

Jedna, dwie, trzy, cztery setki.

Więcej nie mam.

CZESŁAW

Kpisz, czy o drogę pytasz? Tyle masz tylko biedaczku, z twojej sławnej praktyki lekarskiej?

(poważnie)

Słuchaj, jeżeli ty myślisz, że ja po zebraniu przyszedłem, to się grubo mylisz.

JAN

Nie ma mowy o zebraniu. Przychodzisz po to, co ci się należy. Stała ci się straszna niesprawiedliwość.

CZESŁAW

No, więc.

JAN

Teraz wszystko musi się zmienić. Wszystko trzeba naprawić.

CZESŁAW

To znaczy, że dajesz forszę?

JAN

(z zapalem)

Poczekaj. Przede wszystkim — zostajesz u mnie.

CZESŁAW

Naprawdę? Na łaskawym chlebie u pana doktora?
Czy też każesz mi robić lewatywy, albo stawiać bańki?

JAN

(z ozywieniem)

Umiesz stawiać bańki?

CZESŁAW

Tu cię czekał. Słuchaj, ja gadam z tobą i przez cały czas zachodzę w głowę, czy ty jesteś tylko drań, czy i pomylony?

(pukanie)

JAN

(nerwowo)

Kto tam?

ANDRZEJCZAK

To ja! Andrzejczak! Z synem!

CZESŁAW

Nie wpuszczaj mi tu nikogo!

JAN

Dlaczego? To bardzo przyzwoity człowiek, nasz organista. — Sekretów chyba nie mamy.

(otwiera drzwi)

Dobry wieczór? Cóż pan powie, panie Andrzejczak. Czy ktoś zachorował?

(wchodzi Andrzejczak i Antek)

ANDRZEJCZAK

Broń Boże. My tu przyszli powinszować panu doktorowi. Bylibyśmy ostatnie świnie, żebyśmy tego nie zrobili.

JAN

Powinszować? Czego?

ANDRZEJCZAK

Jak to czego? W kalendarzu mam ten dzień zapisany na czerwono, jak wielkie święto. Antek, choroba jedna, zdejmiesz kapelusz, czy nie?

JAN

Cóż to za dzień?

ANDRZEJCZAK

Rocznica. Równy trzy lata temu pan doktor u nas zamieszkał.

JAN

Pamiętaliście o tym. To bardzo ładnie. Ja sam zapomniałem.

ANDRZEJCZAK

A kto miał pamiętać? Ostatnią świnia byłby, kto by nie pamiętał. Męczylimy się razem za Niemca, dożyłim razem wolności. A równe trzy kwartały temu pan doktor temu oto najukochańszemu memu synowi...

JAN

(przerywa)

Znowu to samo! Dajcież mi święty spokój!

ANDRZEJCZAK

...Bylbym ostatnią świnia... Trzy kwartały temu pan doktor temu oto najukochańszemu synowi uratował, że tak powiem życie. Antek, bałwanie jeden, gadaj, com cię nauczył.

ANTEK

(pociągając nosem)

Dziękuję panu doktorowi, że pan doktor był łaskaw uratować mi niegodnemu życie, kiedym już kopyta wyciągał, amen.

JAN

(zażenowany)

Każdy inny doktor by to samo zrobił! Dajcież mi spokój! Spostrzegłem się w porę i wyciąłem mu ślepą kiszkę! Wielkie rzeczy! Czego wy ode mnie chcecie, ludzie?

ANDRZEJCZAK

(surowo)

Już my wiemy, czego chcemy. Rocznicą, to rocznicą, nie?

(wyciąga ku Janowi paczkę, mówi groźnie)

Żona przysyła.

JAN

A to co znowu?

ANDRZEJCZAK

(surowo)

Co ma być? Płótno. Żona utkała. Nie wypada, żeby pan doktor laził taki oberwany.

JAN

Nie jestem wcale oberwany. Wiecie, że nie przyjmuje żadnych tam...

(wpycha mu gwałtem płótno do ręki)

Zabierajcie to sobie i do widzenia! Mam gościa, moi drodzy!

ANDRZEJCZAK

Gość gościem, ale jeżeli pan doktor myśli, że mu ta rocznica ujdzie na sucho...

(Jan wypycha ich za drzwi)

JAN

(do Czesława, zawstydzony)

Słyszałeś?

CZESŁAW

Słyszałem. Widzę, że jesteś nie tylko drań, ale i pomyłony.

JAN

Dobrze, dobrze. To będziesz mieszkał u pomyłonego. Rozgość się. Powiedziałem ci przecież, że jesteś u siebie.

CZESŁAW

Dobroczynca chce mieć w tej dobroczynności pomocnika na darmochę.

JAN

(wesolo)

A tak! A tak! Ja już jestem taki, uważasz, praktyczny dobroczynca. Teraz patrzaj

(podchodzi do drzwi)

— zamykam drzwi na klucz.

Nie wypuszczę cię stąd, dopóki ci nie przybędzie z pięć kilo...

CZESŁAW

(jednym skokiem jest przy drzwiach)

No, no! Takie buty!! Tylko bez kawałów!!

JAN

Co ty, Czesiek, co ty?

CZESŁAW

Otwieraj w tej chwili, bo...

JAN

Ależ otwieram! Czesiek... przecież to były żarty!...

CZESŁAW

No, to ja mam dosyć tych żartów. Nóżki na stół i adiu Fruziu! Jaśnie pan myślał, że ma z frajerem do czynienia!

JAN

(zdruzgotany)

Jak ty do mnie mówisz?

CZESŁAW

(zduszonym głosem)

Kiedyż to zdążyłeś posłać po policję, jezusku, co?

JAN

Ktoś tu z nas zwariował, Czesiek!

CZESŁAW

O, na pewno nie ty! Ależ cwaniak! Moje uszanowanie! Tylko że mnie aniołku tak łatwo nie przyskrzynisz!

JAN

To jest jakieś wielkie nieporozumienie. Posłuchaj mnie tylko. Przecież wiesz, z kim masz do czynienia?

CZESŁAW

O tak, teraz wiem. A i ty wiesz. Będziemy grać w otwarte karty. Rozumiesz, muszę wiać — do Ameryki, czy innego diabła. A ty mi na to dasz forsy.

JAN

(gorączkowo)

Musisz uciekać?

CZESŁAW

Jeszcze jak!

JAN

(cicho)

Ukradłeś?

CZESŁAW

Gorzej! Gdyby mi nie przeszkodzili w robocie, tobym do ciebie nie przychodził. Cudem żem się wykaraskał...

JAN

...zabiłeś?

CZESŁAW

Nie wiem. Bronilem się. Rozwaliłem glinie łeb kamieniem. A zresztą, co tu mi będziesz sędziego śledczego odstawiał. Wiesz o wszystkim. Przecieżeś mnie już na klucz zamykał.

JAN

(cicho)

Nie wiem o niczym. Nie byłbym cię zamykał.

CZESŁAW

(podejrzliwie)

Nie wiesz? A może ty naprawdę z księżycą spadł? Gazet nie czytujesz? No, to sobie raz poczytaj, jak to u nas w eleganckim świecie wygląda.

(wyciąga z kieszeni zmiętą gazetę i oddaje Janowi)

JAN

(czyta z wysiłkiem)

Usiłowanie kradzieży... Morderstwo w Alei Róż... Jan Smoluch, Józef Pała schwytani. Jeden z uczestników, tak zwany Czesiek, nieustalonego nazwiska, zbiegł...

CZESŁAW

He, he... To nieustalone nazwisko — wiesz jakie: Czesław Smółka — do usług.

JAN

(w osłupieniu)

Czesław Smółka.

CZESŁAW

A tak... To już teraz wiesz. Co będzie z nami?

JAN

Poczekaj. Muszę zebrać myśli.

(czyta, jakby nie dowierzając oczom)

Poszukiwania trwają.

CZESŁAW

Dosyć. Na sylabizowanie nie ma czasu. Kto wie, czy Franka nie zwąchała, gdzie mnie poniosło. Głowy nie dam, czy jej co do łba nie strzeliło.

JAN

(z wysiłkiem)

Franka? Kto to jest? Żona?

CZESŁAW

Jaka tam żona. Przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona. Zarabiała zresztą nieźle. Człowiek musiał przecież z czegoś żyć.

JAN

Życ? Ty to nazywasz życiem?

CZESŁAW

Kazanie? A czy pamiętasz braciszku, że ty pierwszy nauczyłeś mnie kraść węgiel?

JAN

(cicho)

Moja wina...

CZESŁAW

A pamiętasz, kiedyś to mnie nie poznał na ulicy, bom ci był za brudny? Trzeba było wtedy zabrać się do tego, żeby mnie nauczyć żyć.

JAN

Moja bardzo wielka wina. Życie bym oddał, żeby to naprawić.

CZESŁAW

Co mi po twoim życiu? Urządziłeś je sobie wygodnie — twoja rzecz. Umiałeś się wdrapać na górę po — jak ją tam nazywają — drabinie społecznej — niech ci będzie. Co mi po twoim życiu. Forsa mi potrzebna, nie twoje życie. No — wykup się braciszкови — i dalej wycinaj ślepe kiszki, stawiaj bańki i zapisuj ziółka idiotom, którzy patrzą w ciebie jak sroka w gnat i myślą, żeś cudotwórca. Wykup się — ja sobie pójdę swoją szosą, a ty będziesz dalej w czyściutkiej izdebce z kwiatuszkami na oknach zalecał się do czyściutkiej dziewczuszki.

JAN

Dosyć! Na miłość boską — dosyć!

CZESŁAW

Racja — dosyć! Nagadali my się za wszystkie lata. Szlus. No, pytam cię po raz ostatni: zaaplikujesz mi jaki brzęczący lek, czy nie?

JAN

(gorączkowo)

Słuchaj... Bierz skrzypce... To są drogie skrzypce. Dostałem je w spadku po opiekunie. Zabieraj je. Sprzedaj.

CZESŁAW

Nie ma głupich. Momentalnie złapałby mnie za łeb...

(gwar za sceną)

Psst! Cicho! Ktoś idzie — czy mi się zdaje.

JAN

Zdaje ci się. Przebieraj się przede wszystkim. Tu bierzna, ubranie — bierz wszystko...

CZESŁAW

(nasłuchuje)

Nie ma czasu. Idą. Całą kupą. Co to jest?

JAN

Nie wiem. Możliwe, że ktoś do mnie. Przyjaciele czasem zbierają się wieczorami...

CZESŁAW

(z trwogą i pasją)

Już ja na tych przyjaciół nie będę czekał...

(zbliża się do okna, wychyla się)

JAN

Co ty robisz?

CZESŁAW

Wiem, rozumię się. Gdzie to okno wychodzi? Na tył domu? Dobrze.

JAN

(błagalnie)

Chcesz uciekać! To niemożliwe! Nie możemy się tak rozstać! Zostań! Ja cię ukryję! Włos ci z głowy nie spadnie.

CZESŁAW

Ech, swoimi włosami to ja się już zaopiekuję. Słyszysz? Walą jak w dym! Jak ostatni duren dopytywałem się o twój dom. Zwróciłem na siebie, psiakrew, uwagę. Człowiek jeszcze nie przyzwyczał się do tego, że jest jak to ścigane zwierzę.

JAN

(w rozpacz)

Ja ci nie pozwolę tak odejść! Bracie!!

(przytrzymuje go siłą)

CZESŁAW

(wyrywa mu się)

Bracie... Teraz mi mówi „bracie”. Rychło w czas...
Skończyło się z braterstwem. Mogło być gorzej. Twoje
szczęście, że nie jesteś taki ostatni drań, jak myślałem,
tylko zwykły idiota.

(pukanie do drzwi)

Oho!

(wyskakuje oknem — mówi zza okna)

Siup! Do widzenia! Może mnie
odwiedzisz w mamrze!...

(groźnie)

Ani się rusz, bo...

JAN

(półgłosem, trwożnie, z rozpaczą)

Czesiek — Czesiek —

(powtórne pukanie)

JAN

(głosem bez dźwięku)

Kto tam?

MARTA

(staje w progu)

To ja, Marta.

JAN

(j. w.)

Aha — to ty. Czego chcesz?

MARTA

Pan przecież powiedział, żebym wróciła.

JAN

(machinalnie powtarza)

Powiedziałem, żebyś wróciła... no to wejdź...

MARTA

(bardzo nieśmiało, zbliżając się do Jana)

Ja wiem, że jak są goście, to nie trzeba przeszkadzać. Ja chciałam tylko zapytać... Może pan czego potrzebuje?... Może świeżego obleczenia na pościel dla gościa, albo co...

JAN

(siedzi bez ruchu, patrzy w okno i mówi głosem bez żadnej intonacji)

Ja już nie mam gościa, Marto.

MARTA

(zdziwiona)

Już nie ma? To nie był brat?

JAN

To był brat.

MARTA

Był tak krótko? I poszedł?

JAN

(sucho)

Poszedł...

(długa pauza)

MARTA

Chciałabym coś powiedzieć...

JAN

No to mów.

MARTA

Ja nie dlatego wróciłam, żeby zapytać o tę pościel... Może ja jestem głupia... Ja wróciłam, bo się czegoś bałam... Bałam się — o pana.

JAN

O mnie? Ach, o mnie nie potrzebujesz się bać, Marto. Mnie nic nie będzie.

MARTA

Bałam się też... czy ja wiem... bałam się, że się coś zmieni... że już tak nie będzie, jak dawniej...

JAN

(z przykrym uśmiechem)

No i cóż? Nic się nie zmieniło... Siedzimy sobie znowu w czyściutkiej izdebce, z kwiatuszkami na oknach... Wszystko w porządku...

MARTA

(z obawą)

On już nie wróci?

JAN

(szczególnym tonem)

Nie. On już nie wróci.

MARTA

(onieśmielona obcym tonem)

Czy ja panu nie przeszkadzam?

JAN

Dlaczegoż miałabyś mi przeszkadzać?

MARTA

Myślałam... Zdawało mi się... A przecież pan kazał mi przyjść... Nie dokończyliśmy wtedy rozmowy...

JAN

(wstaje, mówi twardo)

Ja myślę, że już jej nie dokończymy, Marto.

MARTA

(z trwogą i smutkiem)

Dlaczego?!... Chciał pan mi coś powiedzieć...

JAN

(przesuwając ręką po czole)

Powiem ci... Powiem ci zaraz... Za chwilę — dobrze!
Muszę zebrać myśli...

MARTA

(j. w.)

Wiedziałam, że się coś zmieni...

JAN

(nerwowo)

No, co się zmieniło, co? Chyba to, że zacząłem się interesować gazetami. Przejrzyj Marto ostatnie wiadomości. Może chcesz wiedzieć, co słychać „w eleganckim świecie”? Bardzo ciekawe... Patrzaj, zaraz na pierwszej stronie.

(od dłuższej chwili za sceną strojenie instrumentów)

MARTA

(zdziwiona)

„Morderstwo w Alei Róż”...

JAN

(spokojnie)

Tak, to jest właśnie to, co ci chciałem pokazać.

MARTA

Dlaczego — morderstwo w Alei Róż?

JAN

Dlaczego?... Słuchaj... miałem ci coś powiedzieć, tak?

MARTA

(struchlała)

Tak mi się zdawało...

JAN

Miałem cię o coś zapytać...

MARTA

(bez tchu)

Zapytać...

JAN

Czy ty wiesz — kto jest mordercą z Alei Róż?

MARTA

(cofając się ku drzwiom, szeptem)

Ja? — Skąd...

JAN

Ja! — To ja jestem mordercą.

(Długa pauza. Marta znieruchomiała w drzwiach. Jan odwrócony od niej, patrzy w okno)
(muzyka za sceną)

JAN

Co to jest?

MARTA

Muzyka... To dla pana grają... Andrzejczak....

JAN

Nie słyszę, co mówisz. Chodź tu Marto bliżej.

(Marta postępuje niepewnie kilka kroków naprzód)

JAN

Słyszałaś, co ci powiedziałem?

MARTA

Słyszałam. Ale ja nie rozumiem... Pan jest chyba chory!

JAN

Jestem zupełnie zdrow, na ciele i na umyśle. Teraz dopiero widzę zupełnie jasno, że krzywda, którą się uczyniło człowiekowi, jest jak lawina...

MARTA

Nie rozumiem...

JAN

Zwali się na ciebie i zmiażdży cię w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

MARTA

Panie doktorze — co on panu zrobił?

JAN

Ja dopiero teraz widzę, co ja jemu zrobiłem. I ty mi nie chciałaś wierzyć, że skrzywdziłem człowieka... A mnie się zdawało, że umiem leczyć nienawiść!...

MARTA

Panu jest źle... Czym ja mogę panu pomóc...

JAN

I ciebie skrzywdzę Marto. Nie mogę inaczej.

MARTA

(po prostu)

Będzie, jak być musi.

JAN

Za dobrze mi tu było z wami.

(Podchodzi szybko do stołu, zagląda do rozkładu jazdy)

Pociąg odchodzi o siemnastej dwadzieścia. Pomóż mi Marto pakować rzeczy.

(wyciąga z szafy walizę)

MARTA

(z przerażeniem)

Pan wyjeżdża?

JAN

Tak, Marto.

MARTA

Jak to? Już? Zaraz?

JAN

Zaraz. Nie mam ani chwili do stracenia. Muszę się wystarać o pieniądze. — Muszę odszukać kogoś za wszelką cenę.

MARTA

Dokąd pan jedzie?

JAN

Tam, gdzie jest moje miejsce.

MARTA

(ze szlochem)

Pana miejsce jest tu, gdzie pana kochają, gdzie pana potrzebują...

JAN

Moje miejsce jest tam, gdzie mnie nienawidzą i gdzie nie wierzą ani jednemu mojemu słowu.

MARTA

(z wybuchem)

Ale pan wróci?!

JAN

Nie wiem, Marto. Jeżeli mi się uda uratować tego człowieka, jeżeli mi się uda wyleczyć go z nienawiści...

MARTA

Ja będę czekała...

JAN

(pakuje szybko rzeczy)

Nie czekaj Marto!

MARTA

A pana pacjenci? A mały Bartczak chory na szkarlatynę? A stara Wójcikowa, która tak wierzy, że pan ją wyleczy?

JAN

(zatrzymuje się)

Prawda... pacjenci...

(otrząsa się, twardo)

Przysię zastępcę...

MARTA

Nazbierałam dla pana świeżych ziół..

JAN

(bierze do ręki pęczek ziół)

Biedne moje pachnące, bezsilne zioła... Nie myśl, że mi łatwo rozstać się z nimi... i z tobą...

MARTA

(z przebłyskiem nadziei)

Pan żałuje! To niech pan zostanie!

JAN

(z gniewem)

Myślałem, że mnie zrozumiałaś!

(energicznie wrzuca do walizki resztę rzeczy i zatrząskuje wieko)

(Muzyka za sceną staje się coraz głośniejsza)

MARTA

(chwyta się jej jak deski ratunku)

Muzyka! To dla pan grają! Przed domem pełno ludzi! Oni pana zatrzymają! Oni pana nie puszczą!

JAN

Ucieknę. Ja także potrafię uciec. Przez to samo okno...
a od tyłu...

(zatrzymuje się)

Dobranoc, Marto. Ucałuj małego...

MARTA

Dobrze...

JAN

(już za oknem)

Pamiętaj —

(muzyka urywa się)

MARTA

Będę pamiętała —

JAN

...dawać mu jak najwięcej owoców...

(znika)

(Kurtyna zasłania się)

(Na lewo przed kurtynę wchodzi: Andrzejczak, Antek, chór dzieci, muzykanci, stoją w dwóch grupach z obu stron sceny) (albo na widowni)

ANDRZEJCZAK

No co? Przyszliście się gapić, czy z owacyjom?

CHÓR

Z owacyjom!

ANDRZEJCZAK

No, to dalej! Dzieci z kwiatami z przodku! Muzyka z tyłu! A jak mi będziesz Franuś fałszował, to ci łeb urwę!

(Z lewej wpada Kumoszka pierwsza)

KUMOSZKA PIERWSZA

(z zachłanną ciekawością)

Co to takiego? Co to się dzieje?

ANDRZEJCZAK

Co się ma dziać. Zwyczajna rzecz. Owacja dla doktora.

KUMOSZKA DRUGA

(wpada z prawej)

A bo co? Imieniny?

ANDRZEJCZAK

Jakie tam imieniny! No dalej! Zaczynać! A jak pan doktor wyjdzie, to drzeć się w niebogłosy, tak jak was uczyłem. No, jak to idzie, osły jedne.

DZIECI

(śpiewają)

Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!

ANDRZEJCZAK

Właśnie! O to się rozchodzi! Muzyka! Wesoło! Z życiem!... Drzyjta się głośno! My do pana doktora!

DZIECI

(chórem)

My do pana doktora!

(Kurtyna się odsuwa)

(Pokój doktora. Marta w tej pozycji, w jakiej doktor ją zostawił)

MARTA

Nie ma pana doktora.

GŁOSY

Nie ma? Jak to? Co to za gadanie? A gdzie jest?

MARTA

Pojechał...

GŁOSY

Co? Jak? Dokąd?

MARTA

Do miasta.

ANDRZEJCZAK

Do miasta? Po co?

KUMOSZKA PIERWSZA DO DRUGIEJ

Nie mówiłam paniusi, że tu coś jest w nieporządku!...
I że ruda Marta wysiaduje tu całymi wieczorami...

(Wszyscy wchodzią do pokoju. Kurtyna się zasłania)

Koniec

